Nr. 2. Lwów, 15. stycznia 1901. Rok XXIV.



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

ROGI JELENIE.

Przez A. Przedrzymirskiego.

Piszę w przedmiocie, który u nas dopiero w najświeższej przeszłości stał się aktualnym. Proszę źle mnie nie rozumieć i nie przypuszczać, że chcę pisać o rogach, jakie niekiedy nosi *homo sapiens,* gdyż aktualność tej ozdoby sięga zamierzchłej przeszłości i była, jest i będzie zawsze, we wszystkich społeczeństwach, kwestyą potoczną, codzienną. Biorę za pióro, (posługując się utartym zwrotem), ażeby skreślić parę uwag w przedmiocie mało u nas znanym, uwag tyczących się wspaniałej ozdoby głowy króla naszych borów, prawdziwego dzikiego jelenia, *cervus elaphus.*

Zastanawiając się nad tym przedmiotem, czynię i na tem polu smutne spostrzeżenie, o ile nas wyprzedzili Niemcy. Niemiec, pisząc traktat w tym przedmiocie, byłby go zatytułował poprostu „*Geweihkunde*" — u nas termin „rogoznawstwo" niemożliwym jest do użycia i znam mało ludzi, którzyby się do tej sciencyi przyznawać chcieli.

Niemcy ze swoją pedanteryą i dokładnością śledzili oddawna wszelkie objawy i zjawiska przyrody i każdemu z nich z osobna nadali techniczną nazwę. To samo dzieje się na wszystkich polach nauk i przemysłu, sztuki i wiedzy, podczas gdy u nas, ktoś piszący w jakiejś kwestyi ścisłej, potyka się ciągle o brak określeń, których bądź całkiem nie ma, bądź też istnieją takie, że zdrowy rozsądek cofa się przed użyciem tych konwulsyjnie ponaciąganych nazw.

Najmniej u nas wyposażonym pod tym względem jest dział łowiecki, a już najgorzej w tym dziale wyszedł zwierz najszlachetniejszy, jakim jest jeleń.

Odrzuciwszy na bok szowinizm narodowy, przyznać musimy, że u nas w przeszłości ani porządnej organizacyi państwowej, ani porządnej organizacyi łowieckiej

nigdy nie było. Sejm polski i dawne polowanie podobne były do siebie kubek w kubek. Ten sam bezład, to samo *liberum veto*, i czytając opisy dawnych łowów, dochodzimy do przekonania, że więcej tam chodziło o tumult i wrzawę, o trąbienie i ujadanie psów, a szczególniej o epilogowy bigos, niż o (znowu utykam — Niemiec powiedziałby „*weidgerecht*“). celowe i uczciwe przeprowadzenie łowów. Tego rodzaju łowy były tylko profanacyą tej wielkiej świątyni przyrody i chwała Bogu, bezpowrotnie minęły. Czasy, gdy kilkudziesięciu ludzi konno, kilkaset psów, kilkanaście wozów z sieciami i bigosem, z gwałtem i hałasem wdzierało się w ciszę leśnę i tłukło bezmyślnie oszalałego i do kąta przypartego zwierza, są już daleko za nami. Bo i któż tłukł tego zwierza? Najczęściej najemne pachołki, panowie raczyli się bigosem i rzadko który chciał się fatygować, chodziło więcej, jak już wspomniałem, o ten cały rozgardyasz, niż o porządne wykonywanie łowów. Były naturalnie wyjątki, ale te nikły na ogólnem tle. *) Nie tak to dawne czasy i pamiętamy jeszcze tych myśliwych starej daty, którzy ani się z bronią obejść, ani też na polowaniu zachować się nie umieli. Tego rodzaju mamuty bywały nieraz postrachem całych porządnie zorganizowanych drużyn łowieckich, gdyż rygor i porządek myśliwski, były dla nich rzeczą nieznaną. Rozmawiać głośno w czasie polowania, podbiegać w miot za zwierzyną, strzelać lotkami, wywijać nabitą strzelbą z odciągniętymi kurkami, bywały to rzeczy zwykłe u tych panów, wychowanych w tradycyach dawnego polskiego myśliwstwa; nie dziw więc, że przy takiem wykonywaniu łowów, sztuka łowiecka nie istniała zupełnie, o teoryi łowów nie śniło się nikomu; stąd też tak mało mamy polskich określeń w naszej łowieckiej terminologii.

Z tym też szkopułem spotkałem się zaraz na wstępie, chcąc skreślić kilka uwag o rogach jelenich, gdyż jeżeli które zwierzę było u nas w zaniedbaniu, to był nim jeleń z pewnością. Najpierw jeleni na obszarze dawnych ziem polskich było bardzo niewiele. Świadczą o tem niesłychanie rzadkie wzmianki w starych dziełach, świadczy zupełny brak starych jelenich rogów, któreby się w zbiorach przechowały. Wprawdzie zamiłowanie w przechowywaniu trofeów łowieckich datuje się u nas od bardzo niedawnej przeszłości, lecz przecież mamy dawne zabytki z tej dziedziny, jak rogi łosi i żubrów, a o rogach jeleni z dawno ubiegłych lat nie słyszymy. Z tego pokazuje się, że ojcowie nasi mało stykali się z jeleniami, nie mogli też zostawić nam za przykładem Niemców terminologii, zastosowanej do jelenia i uświęconej wiekowem użyciem.

Lecz czasy się zmieniły. Ustało bezładne i hałaśliwe myśliwstwo, w kniejach nastała cisza i porządek, wykonywanie łowów przestało być zatrudnieniem gajowych i kucharzy, i oto w sporej połaci dawnych ziem polskich, w całem paśmie rozległych Karpat i ich przedgórzy, ukazał się nam gość nowy a miły, wspaniały jeleń. Dziś w Galicyi liczyć możemy śmiało jelenia do naszej pospolitej zwierzyny; w miejscach, gdzie przed dziesięciu jeszcze laty nikt tropu jelenia nie oglądał, przechadzają się majestatycznie stada jeleni i jesienią trzęsą się lasy od ryku. Z zamiłowanych myśliwych naszego kraju nie ma już prawie nikogo, ktoby się nie spotkał z jeleniem, a przepyszne wieńce naszych karpackich jeleni, zdobyte na naszych własnych terenach, stanowią chlubę i dumę naszego łowiectwa. Słusznem jest zatem, ażebyśmy mając tego szlachetnego zwierza u siebie i zdobywając jego wieńce, umieli także z całą ścisłością myśliwską i naukową oznaczyć, co posiadamy, czy zdobyty wieniec należy do dziesiątaka lub szesnastaka, czy to jest jeleń młody lub stary, czy to są wieńce, które rok przedtem nosiły więcej lub mniej gałęzi (słowo „parości“ jest dla mnie wstrętnem, w górach lud używa określenia „pasem“ i kto wie, czy nie ma racyi) — i tym podobne szczegóły. Myliłby się bardzo ten, ktoby sądził, że na oznaczenie wieńca wystarczy policzyć końce, gałęzie, pasma. Ilość końców, choć zgadza się czasem z właściwem oznaczeniem jelenia jako dziesiątaka, dwunastaka i tak dalej, to nie zawsze ta ilość determinuje tytuł, że tak się wyrażę, należący się jeleniowi. I tak możemy licząc końce mieć czternastaki, które ledwie są dziesiątakami według teoryi i nauki — i odwrotnie, możemy mieć dziesiątaki faktyczne, które na podstawie pewnych danych musimy uważać za czternastaki lub jeszcze starsze jelenie. Studyowałem tę rzecz dokładnie i w naturze i w niemieckich myśliwskich i zoologicznych dziełach i rezultatem tych badań dzielę się poniżej z tymi, których by to zajmowało.

Chcąc dokładnie poznać przebieg rozwoju i stopniowych zmian rogów u jelenia, musimy począć od chwili, gdy ciele jelenie, rodzaju męskiego, przychodzi na świat.

Jak wiemy, popęd płciowy u jeleni manifestuje się w jesieni. Druga połowa września i pierwsza października, są najczęściej porą zapłodnienia łani. W czterdzieści mniej więcej tygodni później, w końcu więc maja lub w pierwszej połowie czerwca, przychodzi na świat jedno młode — czasem, lecz rzadziej, dwoje. Jak wiadomo rogi tak rogacza jak i jelenia, jak zresztą wszystkich pełnorożców (łosi, danieli, renów i t. p.) osadzone są na dwu kościanych czopach, które wyrastają bezpośrednio z czaszki, zwykle tuż nad okiem. Czopy te pozostają przez całe życie zwierzęcia ukryte pod skórą i do tych czopów przytwierdzone są późniejsze ozdoby głowy, jak rożki, rogi, szufle. Przytwierdzenie to po ukończeniu procesu wyrastania i dojrzewania rogów, staje się czysto mechanicznem, gdyż dojrzały róg żadnego już pokarmu od organizmu zwierzęcia nie otrzymuje. Na podłużnym przekroju dolnej części jeleniego rogu i odpowiedniej części kościanego czopa, na którym ten róg był osadzony, widać pod mikroskopem dokładnie sposób tego mechanicznego połączenia. Dzieje się to zupełnie na podobieństwo spojeń pojedyńczych, składowych części czaszki za pomocą t. z. szwów kostnych. Kto nie miał sposobności oglądania takich szwów na preparatach anatomicznych, niech zdejmie u siebie pierwszą lepszą parę sarnich rożków ze ściany, a ujrzy w samym środku kości czołowej biegnącą w górę linię wężykowatą, dzielącą się między rożkami na dwie odnogi. Ta wężykowata linia jest tym właśnie szwem kostnym i polega na tem, że wystające części krawędzi jednej kości przystają jak najdokładniej do odpowiednich wgłębień krawędzi drugiej kości i łączą obydwie w jednę całość. Ten sam system egzystuje w połączeniu właściwego rogu z jego kostną podstawą, tylko połączenie to jest o wiele silniejszem od poprzedniego, gdyż tu nie są połączone ze sobą krawędzie lecz całe powierzchnie; to też łatwiej jest złamać sam róg, niż oderwać od jego podstawy. Wyjątek

*) Z surowym sądem szanownego autora o dawnem myśliwstwie polskiem nie zgadzamy się i nie bierzemy zań odpowiedzialności. *Redakcya.*

stanowi tu tylko wypadek, jeżeli usiłowanie oderwania odbywa się w czasie, gdy jelenie same zrzucają rogi. Wtedy na dłuższy już czas przed zrzuceniem rogów, odbywa się w samych czopach kostnych proces fizyologiczny, mający jako skutek rozluźnienie spojeń pomiędzy samym rogiem a jego kostną podstawą. Jeżeli ten proces jest już posunięty, to przy wywarciu jakiegoś ciśnienia na róg, oddziela się on łatwo od swej kościanej podstawy, a w miejscu dawnego spojenia powstaje słabo krwawiąca blizna, która się bardzo szybko zabliźnia. Każdy róg u pełnorożców zaopatrzony jest u podstawy, tuż nad czopem kostnym, wystającą i w różne zygzaki powyginaną krawędzią. Tę krawędź nazywamy różą, a podstawę kostną, czop róży względnie rogu, nazywają Niemcy „*Rosenstock*". W naszej terminologii odpowiedniego wyrazu nie mamy. Rozwój więc rogów u męskiego cielaka jeleniego poczyna się najpierw od wytworzenia tych czopów kostnych, mających służyć za podstawę przyszłym rogom. Brehm, Grashey, (znakomity myśliwy bawarski), Dombrowski i inni badacze, oznaczają wiek siedmiu miesięcy, jako porę, w której u jelenia poczynają się tworzyć te czopy kostne — wtedy u małego jelonka przekonać się można za pomocą dotknięcia o obecności małych wypukłości kostnych między łyżkami (uszami). Po 6—8 tygodniach, tworzenie się tych czopków jest już ukończone i u 9-cio miesięcznego jelonka zaczyna się wzrost właściwych rogów.

Nad kostnymi czopami ukazują się pierwsze rożki jeszcze miękkie i pokryte owłosioną skórą.

Z postępem dni i tygodni rogi te wyrastają coraz bardziej, poczynają twardnieć od dołu ku górze, wreszcie dojrzewają zupełnie. Krążenie krwi i soków odżywczych w nich ustaje, skóra pokrywająca je więdnie i odpada kawałkami, jeleń wyciera rogi o drzewa, mające miękką korę, i wreszcie pyszni się pierwszą swoją ozdobą głowy, pierwszymi rogami.

Jelenia w tem stadyum rozwoju rogów nazywamy szpiczakiem. Charakterystycznemi cechami szpiczaka są: wysokie bardzo i cienkie czopy kostne, podpierające rogi i słaba, niewyraźna róża.

Same rogi są cienkie, pojedyncze, bez żadnych rozgałęzień, prawie proste, z lekką łukowatą tendencyą na zewnątrz, przyczem same końce rogów okazują nieznaczną dążność do zagięcia się ku środkowi. Długość tych rogów jest bardzo rozmaitą, nie przekracza jednak zwykle 40 cm. a bywają i takie, które ledwie 10-ciu dosięgają. Czopy kostne u jelenia w tym wieku są u swych podstaw bardzo od siebie oddalone.

Z tą pierwszą ozdobą głowy chodzi szpiczak zwykle do kwietnia a czasem aż do maja, (stare jelenie do lutego i marca).

W tym czasie traci szpiczak pierwsze rogi. Powstałe po odpadnięciu rogów ranki zabliźniają się bardzo rychło i już w pierwszych kilkunastu dniach po zrzuceniu pokazują się zaczątki nowych rogów. Do lipca, względnie czasem do drugiej połowy sierpnia, dojrzewają te drugie rogi i mamy teraz jelenia w drugim stopniu rozwoju rogów, t. z. widłaka.

Oznakami widłaka są cokolwiek niższe i grubsze, a dołem więcej do siebie zbliżone czopy kostne (*Rosenstöcke*). Zresztą rogi są podobne co do formy do rogów szpiczaka, bywają tylko cokolwiek dłuższe, wygięcie rogów w środkowej części na zewnątrz, a dążność końców ku środkowi akcentuje się wyraźniej, o parę zaś centymetrów nad różą wyrasta pierwsza odnoga t. z. odnoga oczna (*Augensprosse*). Odnoga ta u widłaka wyrasta z głównego pnia, w pewnej wysokości nad różą, tworzy z głównym pniem kąt ostry, wygina się w swoim środku lekkim łukiem ku dołowi, a końcem swoim dąży nieznacznie ku środkowi i górze. Jako prawidło przyjąć potrzeba następujące punkta. Im jeleń jest starszy, tem:

1) czopy kostne są niższe, (gdyż za każdem zrzuceniem część czopa się zużywa), a podstawy czopów u czaszki zbliżają się ku sobie, wskutek zgrubienia samychże czopów, kąty już utworzone przez boczne odnogi z pniem głównym stają się coraz więcej rozwarte;

2) im jeleń jest starszy, tem odnoga oczna jest niżej nad różą osadzona, tem bardziej kąt utworzony przez nią z głównym pniem jest rozwarty, a koniec odnogi dąży więcej na zewnątrz;

3) im jeleń jest starszy, tem zewnętrzna krzywizna głównego pnia rogów jest znaczniejszą a dążność ku środkowi końców wieńca większą.

Jakiebykolwiek istniały zboczenia w budowie rogów, to zawsze wyżej wymienione, że tak się wyrażę, dogmaty, pozostają stałe i niezmienne. (D. n.)



Polowanie na niedźwiedzie
w Galicyi.

W jednem z pism łowieckich niemieckich umieszcza pewien myśliwy niemiecki, spokrewniony z jednym z panujących domów niemieckich, opis polowań na niedźwiedzie w powiecie stryjskim i samborskim. Myśliwy ten, który dworskim wyrokiem skazany został na pewien rodzaj wygnania, spędził pięć lat tego wygnania w Galicyi i urządził je sobie w sposób, jak tylko mógł, najprzyjemniejszy. Zapalony i doskonały łowiec poświęcił tych pięć lat polowaniu w naszych prześlicznych górach i wyniósł, jak się okazało, niezapomniane wrażenia, skoro po tylu latach uważał za stosowne podzielić się niemi z ogółem. Ponieważ chodzi tu o znane naszemu światu myśliwskiemu rewiry i ponieważ spotkaliśmy się tu z kilkoma nazwiskami naszych najlepszych myśliwych, uważaliśmy za stosowne opis ten umieścić w łamach naszego pisma.

„Teatrem mojej myśliwskiej działalności, pisze p. H., „były przedewszystkiem Karpaty, a mianowicie ich część, „objęta stryjskim i samborskim powiatem, przez którą „przebiega rzeka Stryj. Wydzierżawiłem dobra Kropiwnik, „trzy mile na południe od Drohobycza — dobra te miały „około 6000 morgów obszaru i nęciły mnie swojem położeniem, swoimi wspaniałymi lasami, przeciętymi Stryjem, „i nadzieją spotkania się z grubym zwierzem. Do lasów „kropiwnickich przytykały lasy kameralne, w których za „zgodą nadleśniczego tamtejszego polowanie także było do „mojej dyspozycyi.

„Mój orszak myśliwski składał się z leśniczego, „trzech tropicieli, którzy także psy zakładali, i z 14 do

„18 psów. Tych było dwa gatunki — bardzo cięte i znakomite gończe polskiej rasy i przeznaczone do osadzania „dzików kundysy, (w tekście niemieckim nazywają się te „psy „cuntesji“). Z powodu znacznych odległości miał każdy „z myśliwych do dyspozycyi wierzchowego konia — konie dawałem także tropicielom, żeby siły ich zaoszczędzić „na samą chwilę polowania, które samo z siebie było już „bardzo natężającem.

„Tajemnicę moich zawsze prawie szczęśliwym rezultatem zakończonych polowań, zdradzę szanownym „czytelnikom — a rezultatów polowań nie można inaczej „nazwać, jak znakomitymi, skoro przez pięć lat, ze współudziałem mojego kochanego sąsiada, leśniczego kameralnego w Rybniku, p. Knaura, ubiłem 18 niedźwiedzi, 86 „dzików, 1 rysia i wiele innej mniejszej zwierzyny. Polowaliśmy tylko na zwierzynę, która możliwie krótko była „obcięta. Tropili nasi tropiciele, którzy każdego czasu, czy „to na rosie, czy też na suchej stopie, po kierunku załamanych ździebeł trawy, tak zwierza wyśledzić umieli, jak „na śniegu lub szronie. Sprawa była ogromnie ułatwiona „i rezultat prawie niechybny, gdy się uwzględniło kierunek „wiatru, wagę zwierza i topograficzne stosunki, krótko „mówiąc, gdy się polowanie należycie urządziło.

„Nigdyśmy niedźwiedzia w gawrze nie inkomodowali, „jak to się najczęściej w Rosyi dzieje, bo przenosiłem „zawsze polowanie na niedźwiedzia w czasie, kiedy on „nie jest snem zimowym ujęty. Zarządzane przez władze „polowania, na które spędzano całe gminy na obławę, podobnie jak to robią w Rosyi przy obławach na wilki, „rzadko kiedy były jakim rezultatem uwieńczone, bo przy „takiej ilości ludzi trudno było utrzymać między nimi porządek i dyscyplinę i zmusić tak strzelców, jak i naganiaczy do cichego zachowania się w lesie.

„Główną rzeczą jest zatem, mieć dobrych tropicieli, „których w górach bez trudności znaleść można, a których wysokiem strzałowem można do tego stopnia zachęcić, że oddają znakomite usługi.

„Mógłby ktoś powiedzieć: „to my sami o tem „wiemy“. Ja polowałem u wielu sąsiadów bez żadnego „rezultatu prawie, widocznie więc ci panowie nie wiedzieli, „co trzeba zrobić, żeby sobie rezultat zapewnić.

„W d. 9 listopada pewnego roku przybyło do mnie „kilku gości na polowania. Wydałem natychmiast zarządzenia na następny dzień. Zaraz nazajutrz otropiono „w moim rewirze trzy niedźwiedzie i stado dzików — „ponieważ jednak z powodu znacznej odległości tego rewiru, raporty późno nadeszły, mogliśmy dopiero o godzinie trzeciej popołudniu zdążyć na miejsce. Tymczasem „jednak niedźwiedzie wyniosły się z miotu. Aby nie niepokoić ich daliśmy spokój dzikom, tem bardziej, że „moim gościom, hr. Aleksandrowi Fredrze i hr. Leopoldowi Starzeńskiemu, którzy o 15 mil ze Lwowa na to „polowanie przybyli, chodziło tylko o niedźwiedzia, bo „dzików mieli oni dosyć we własnych rewirach. Dla uzyskania na czasie poleciłem, ażeby na drugi dzień raport „przyniesiono nam do centrum rewirów, na łąkę Jaworynkę, gdzie o godzinie 10-ej zrana stawiłem się z gośćmi „i z kilkoma sforami psów. Przybył także p. Knaur ze „swoimi ludźmi i psami, brał w tem polowaniu udział „także mój brat, tak, że strzelców było piętnastu. Psy „w liczbie dwunastu, czekały niecierpliwie na rozpoczęcie „polowania — i uważaliśmy, że jeszcze z łąki wietrzyły „w kierunku góry, wznoszącej się po lewej stronie dolinki.

„Moi ludzie jeszcze nie wrócili z obchodu — jednakże „ludzie p. Knaura zaraportowali, że otropili w pobliskim „parowie, właśnie w kierunku, w którym wietrzyły moje „psy, dwa niedźwiedzie, a mianowicie niedźwiedzicę z młodem. Ponieważ było nas dosyć strzelców, nie czekałem na powrót moich tropicieli, lecz postanowiłem rozpocząć zaraz polowanie, przyczem nie uważałem za zbyteczne zwrócić uwagę moich towarzyszów, żeby oszczędzali młodego niedźwiedzia, któremu matka z troskliwości zawsze przed sobą iść każe, a strzelali do niedźwiedzicy. Nieźwiedzica jest bardzo dobrą matką — tem też „straszniejszą jest, gdy się dziecku jej co stanie. Psy „i ludzi posłałem na trop, kazałem po półgodzinie puścić „psy na ślad, i jak zawsze dać trąbką znać o tem. Sam „rozstawiłem myśliwych na starej drożynie leśnej w odległości mniej więcej 80 kroków jeden od drugiego. Nie „wiem, jakim sposobem niedźwiedzie ruszyły przed zupełnem obstawieniem miotu — wyszły one na flankę, tu strzelił do nich leśny dwa razy, i wtenczas dopiero zwróciły „się ku frontowi linii. Mój brat, początkujący myśliwy na „niedźwiedzie, zobaczył na prawo od siebie biegnącego „piastuna i zwlekał ze strzałem, oczekując w myśl mojej „instrukcyi niedźwiedzicy. Gdy ta jednak się nie pojawiała, a strzały, które już padły na prawej flance, utwierdziły go w mniemaniu, że niedźwiedzica już padła, strzelił „do zmykającego niedźwiadka. Skutku nie można było „dostrzec — wtem ku wielkiemu jego zdziwieniu wypada „w lekkich skokach niedźwiedzica i dąży za swojem dzieckiem. Na szczęście ja byłem najbliższym sąsiadem brata, „pospieszyłem do niego, wysłuchałem jego pokornego „wyznania, że chybił i w tej chwili zatrąbiłem na znak, „żeby psów nie puszczano, co na szczęście jeszcze się „nie stało. Przekonałem się jeszcze w pośpiechu, że mój „brat na czysto chybił, co łatwo było poznać na śniegu. „Stan duszy mojego brata, który zresztą aż do chybienia „całkiem poprawnie sobie postąpił, można sobie łatwo „wyobrazić — jeszcze nigdy nie widziałem tak wydłużonego nosa i nigdy u nikogo nie wyczytałem takiego „uczucia zawodu na twarzy, jak wtedy u niego.

„Gdym się znowu z mojem towarzystwem znalazł „na Jaworynce, nadszedł z twarzą jaśniejącą od radości mój „stary, najpewniejszy tropiciel, Jakimko i oświadczył mi, „że w dalszej części mojego rewiru otropił dwa wielkie „niedźwiedzie i stado dzików, które szacował na trzydzieści sztuk. Propozycyi zapolowania na terenie p. leśniczego Knaura, gdzie była także gruba zwierzyna, nie „mogliśmy zadość uczynić, ale cieszyliśmy się nadzieją, „że i na drugi dzień ściele nam sie ładne polowanie. „Cały rozgorączkowany zachęcałem moich gości do pośpiechu, tem bardziej, że mieliśmy jeszcze do przebycia „bardzo stromą ubocz, a dzień listopadowy krótki — „zwierzyna zaś koło godziny trzeciej zaczyna najczęściej „chodzić.

„Na kilka minut przed trzecią zajęliśmy stanowiska — „przed naszemi oczami leżała romantyczna dolina Stryja, „oświetlona wspaniale złotymi promieniami chylącego się „już do zachodu słońca. Goście moi stali na przypuszczalnym wekslu, ja zaś na samym dole parowu, w którym „niedźwiedzie i dziki były obcięte. Parów był zarośnięty „jeszcze jedliną z gęstem podszyciem — podczas, gdy my „staliśmy już w wysokim bukowym lesie. Chwila już minęła, jak usłyszałem sygnał, że psy puszczono, żaden „jednak odgłos ich gonienia nie dochodził jeszcze moich

„uszu. Dziwiło mnie to niepomiernie i ze względu na „spóźnioną porę byłem niespokojny o wynik polowania.

„W końcu, po może półgodzinnem czekaniu, słyszę „daleko za sobą głos odzywającego się psa, i poznaję na- „tychmiast po głębokim tonie, że to jest mój dzielny Za- „graj (w tekście „Zakrei“), który z pasyą szedł za tropem „niedźwiedzim. Za chwilę wpadły w takt „inne psy i cały gon zaczął oddalać „się szybko od naszej linii. Moi goście „nie mogli już mieć nadziei przyjścia „do strzału — mnie jednak opanowała „gorączka myśliwska i popędziłem za „gonem w las dziewiczy, zupełnie mi „nieznany. Po długim biegu natknąłem „na starego filuta, Jakimka, który wy- „raził mi zapatrywanie, że niedźwiedzie „z psami nawrócić muszą ku nam, bo „w tym kierunku, w którym gon po- „szedł, las zaraz się kończy. I rzeczy- „wiście, po grze psów poznałem, iż „niedźwiedzie nawróciły i że muszą „się bardzo spieszyć, bo gon szedł „bardzo szybko. Pobiegłem naprzeciw „i spostrzegłem w wysokiej drągowinie, „jednakże po drugiej stronie głębokiego „parowu, dwa silne niedźwiedzie, czarnego i srebrnosza- „rego, jak pędziły, gonione każdy przez kilka psów. „Pierwszy zwrócił się prosto ku parowowi, co mnie „skłoniło do posunięcia się ku jego wylotowi, aby tam „przyjąć niedźwiedzia, jak należy. Szary rzucił się w in- „nym kierunku, i biegł równolegle do parowu, tak, że na „razie nie mógł mnie interesować. Może być, że mnie „zobaczył, tak jak ja jego i że stchórzył.





„Czarny niedźwiedź przeszedł przez potok, szumiący „w parowie i zaczął się wspinać powoli po skalistej, stro- „mej ścianie przeciwległej, chociaż musiał mnie już był „zobaczyć. Wychyliłem się trochę nad brzeg parowu „i posłałem mu pierwszą kulę na 25 kroków odległości, mie- „rząc w grzbiet, z lewej strony, nad komorę. Drgnął, za- „mruczał głośno, ale wspinał się dalej spokojnie. Miejsce, „gdzie kula weszła, widziałem dokładnie, bo posoka per- „liła się i pieniła na ranie. Jakichś nieprzyjacielskich za- „miarów nie miał biedak widocznie; wyspinał się w końcu „o jakie dwadzieścia kroków dalej na brzeg parowu i za- „czął umykać galopem. Ponieważ nie mogłem stojąco „strzelać z powodu zwieszających się gęstych konarów „jodłowych, uklęknąłem i posłałem mu drugą kulę, która, „jak się później pokazało, przeszła przez serce. Padł z dy- „mem, przewrócił się na wznak, zaryczał straszliwie i leżąc „wykonywał jeszcze słabe ruchy łapami. Psy, których pięć „za nim ciągle szło, rzuciły się na niego i wżarły się „w niego ze wszystkich stron. Ta dzika scena sprawiła, „żem na chwilę zapomniał o nabiciu strzelby i gdym „wsunął w końcu nabój do lufy, aby dostrzelić biedaka, „ujrzałem ku wielkiemu zdziwieniu szarego niedźwiedzia, „biegnącego galopem w moim kierunku i odległego już „zaledwie na dwadzieścia kroków. Na nieszczęście nabój „mojej iglicówki, nabijanej z góry, nie doszedł na swoje „miejsce, bom nie usłyszał odgłosu, jaki powinien był dać „spadający nabój. Wyciągnąć stempel, przybić nim nabój, „wyrzucić go z lufy, było dziełem jednej sekundy, poczem „z wolnej ręki, nie przykładając strzelby do ramienia, „a przytykając ją prawie do piersi zwierza, ściągnąłem „cyngel... Niedźwiedź przewrócił się, zerwał się jednak na „nowo, usiłował dwa lub trzy razy rzucić się naprzód, „w końcu zniknął mi za załomem, odległym o jakie trzy- „dzieści kroków odemnie.

„Wtem przypadł do mnie Jakimko i wstrzymał „mnie od pogoni za zwierzem, twierdząc, że widział on „całe zajście i że ten niedźwiedź nie może daleko leżeć. „Byłem do tego stopnia nierozsądny, że go usłuchałem. „Zatrąbiliśmy i wkrótce zeszli się strzelcy, którym poka- „załem na śniegu ślady strzałów i opowiedziałem całe „zdarzenie. Ponieważ zaczęło się ściemniać, nie zatrzymy- „waliśmy się już długo, tem bardziej, że do Kropiwnika „trzeba było kilka godzin jechać.

„Zabity niedźwiedź był całkiem czarny, bez pier- „ścienia na szyi, mierzył od nosa do końca grzbietu „170 cm. — a ważyć musiał z pięć cetnarów żywej wagi,

„gdyż czterech ludzi miało co dźwigać. Zęby bardzo już „zepsute wskazywały, że był bardzo stary.

„Chociaż przy aferze z szarym niedźwiedziem, który „na karku miał bardzo ładną, ciemno bronzową grzywę, „ani na chwilę nie przychodziła mi myśl o niebezpie„czeństwie, w jakiem się znajdowałem, przyznam się, że „zachowanie się tego niedźwiedzia mogło każdego zadziwić. „Stałem na zupełnie wolnem miejscu, a pędził on wprost „na mnie — dopiero chyba taki bliski strzał, efekt huku „zaraz przy jego uchu powstałego, i kontuzya musiały go „spowodować do tego, że porzucił nieprzyjaźne zamiary, „bo kula jakkolwiek dobra, nie mogła spowodować takiej „nagłej zmiany zamiaru. Przyszedł tylko z przywiązania „do pierwszego, którego boleśny ryk usłyszał. Czasu nie „miałem się złożyć, ale jestem pewny, że kula weszła „w niego między szyją a lewą łopatką — od wylotu lufy „do miejsca, gdzie kula ugodziła, nie mogło być więcej, „niż dwadzieścia centymetrów. Musiałem się wprost prze„chylić w tył i sztuciec trochę w tył usunąć, inaczej mu„siałbym był lufę mieć opartą na niedźwiedziu.

„Największem mojem zmartwieniem było to, żeśmy „tego niedźwiedzia nie podnieśli. Ze względu na moich „gości musiałem na drugi dzień objąć kierownictwo polo„wanja i posłałem trzech moich najpewniejszych ludzi, „między nimi Jakimka, z poleceniem szukania niedźwie„dzia. Nie przynieśli go i prawdopodobnie nawet nie „bardzo szukali, lecz zadowolnili się prawdopodobnie tem, „że przesiedzieli cały dzień przy ognisku i raczyli się wódką, „którą ze sobą zabrali. Lenistwo z pewnością odegrało „tu najważniejszą rolę, bo w skradzenie niedźwiedzia nie „mogę uwierzyć.

„Sztuciec, z którego wtedy strzelałem, był iglicówką „z fabryki Bösenberga z Lipska i dzisiaj czyniłby przy „obecnym postępie techniki w fabrykacyi broni, komiczne „wrażenie. Bił jednak kulą na 100 kroków tak dobrze, „jak sztuciec gwintowany — zabiłem z niego pięć nie„dźwiedzi i około trzydzieści dzików. Potem zmieniłem go „na dubeltowy sztuciec Dreysego, a potem na sztuciec „lankastrowy 11º milimetrowy.

„Przy odnowieniu tych wspomnień nie mówię, jak „inni: „Kto odda mi moją młodość?“ — bo ciało jeszcze „mocne, ale z całą tęsknotą zapytuję: Kto odda mi te „moje polowania?“



„JEREMIASZ SĘP“

Z powieści Aleksandra Fredry ojca.

(Ciąg dalszy)

„Odkądże wolno podrzutkom
„Na jałmużnach wykarmionym
„W pańskich łowach udział brać?!“
Młodzieniec zadrżał i pobladł
I znów twarz mu zapłonęła,
Lecz na Hannę zwrócił wzrok...
W jej obliczu, w jej wejrzeniu
Zdał się czerpać nowych sił.
I jeszcze niżej się skłonił,
Że aż grzywy czołem dotknął,
I tak znowu kornie rzekł:
„Pamiętny jestem z wdzięcznością,
„Że wyrosłem w pańskiej psiarni
„I że pański jadłem chleb.
„Pańskich zabaw więc używać
„Anim godzien, ani śmiem.
„Myśliwstwa Panie nie trzymam,
„Chart ten za mną przybiegł z Krymu,
„Nie wiedziałem, czy co wart.
„Jeżeli dobrze się sprawił,
„Racz osądzić Jaśnie Panie
„I jak łaska rozkaz daj,
„By do psiarni go przyjęto...
„Może tam się na co zda“.
„Słyszycie! Czesnik zawołał,
„Czy słyszycie!?... Hryńko Niczyj
„Psa daruje!... Niczyj!... mnie!...
„Przyjmuje darek sąsiedzie...
„Hej Szczepanku! weź tam troki,
„Przygnij brzózkę, powieś psa.
„Niech podynda na przestrogę,
„Jak mi w drodze stawać źle“.
Szczepanek podbiegł ochoczo,
Niczyj w niego oko wlepił,
Pięści ścisnął, zęby ściął...
Chciał mówić — nie mógł — Nareszcie
Na kulbace się poprawił,
Ściągnął cugle, czapkę wdział,
Konia zwrócił, w cwał pocisnął
I zawołał: Sułtan huż!
A Sułtan skoczył piorunem
Za zanadrze chwycił chłopca,
Jakby torbą dwakroć wstrząsnął,
I tak w nim trzasły wszystkie kości,
Że aż z gęby poszła krew,
Potem porwał w pysk zająca
I za panem pognał w lot.
Łapajcie! — wrzasnął Drapieżny —
I pod końmi jękła ziemia...
Dudni, dudni jakby grzmot...
Łapajcie! Bijcie! Zabijcie!
Wrzeszczy wściekle kozaczyzna
I jak chmura naprzód mgnie —
Lecz nie doszła i kurzawy,
Którą Sułtan miotał wstecz.

* * *

Przed laty, kiedy weselnie
Sęp Jeremiasz, Cześnik Łucki,
Młodą żonę przywiódł w dom,
I kiedy grzmiały wiwaty,
Kotły, surmy i fanfary,
W pańskim dworcu dzień i noc,
Gdzieś za bramą, w rowie, w koszu
Małe dziecię znalazł ktoś.
Hrehory dano mu imie,
Lud dołożył potem: Niczyj,
Bo niczyim w rzeczy był.
Podrzutek wzrastał w chłopaka
Bez odzieży, bez obuwia,
W psiarni legał, z psami żył,

Jak pokrzywa bez uprawy
W bujny, szkodny rosnął chwast.
Po śmierci mistrza swojego
Bandurzystą Niczyj został
I przy pańskim stole grał.
Cudownej był on urody,
Jego kibić jak topola,
Oko czarne, czarna brew,
I rumieniec na jagodach
Jak zakwitły świeży kwiat.
Jak chwycił w rękę bandurkę,
Kruczym włosem wdzięcznie potrząsł,
Zachwycony podniósł wzrok,
Milknęło wszystko dokoła,
Struny biły jakby dzwonki,
Jakby z fletu płynął śpiew,
Ale biada, kto mu ufał,
W jego sercu mieszkał czart.
Tymczasem w pańskiej komnacie,
Nad kolebką zawisł smutek,
Życie Hanny ledwie tli.
Maleńka słaba istota,
W puchu pieszczot macierzyńskich.
Odegrzana serca tchem,
Płaczem witać się zdawała
Swej przyszłości mglisty świt.
W bezsennych nocach dziecięcia
Bandurzysta przywołany,
Przy kolebce kiedy kląkł,
Urokiem świętej miłości
Jego dusza jak obwiana
Wypływała z czarnych szat
I w pierwotnej swojej bieli
Przed odwieczny biegła tron.
Gdy śpiewał senne piosnki,
Najrzewniejszych nut dobierał
I uczuciem drżał mu głos.
Maleńka Hanna słuchała
Rączki kładła mu na usta,
Z ust na struny, a dźwięk stron
Szemrał, szeptał jakby echo
Gdzieś śpiewanych świętych słów.
Maleńka Hanna słuchała
I w uśmiechu stygła łezka
I powieki sklejał sen.
Głos dźwięczny, luby, uroczy,
Rzewne, smętne dumek nuty,
Tęsknej myśli cichy prąd
Siąkły w pamięć, w sny wpływały
Z życiem rosły razem z nią.
Godziny pełzły, a lata
Biegły. — Hanna z tego pączka
Tylu cierpień, tylu łez,
W nadobną wzrosła dziewońkę,
Lecz jej piękność nie z tej ziemi
Można było wielbić, czcić,
Lecz zmysłowo kochać, nigdy,
Tyle nieba było w niej.
W komnacie pańskiej już cisza,
Matki nie ma, Hanna sama,
Ani słyszeć dźwięku strun.
Lecz za to w nocnych godzinach,
Z szumem wody, szmerem liści
Zawsze miły, luby śpiew
Dolatując śnieżnych kotar
Lulał, wpieszczał w ciche sny.
Zuchwały, chytry podrzutek
Jakby pająk w czarnej nocy
Zwolna, zcicha wiązał sieć.
Szalenie kochał dziewicę,
A ta miłość pożądliwa
Tak przejęła duszę wskroś,
Że w niej tylko swe zbawienie
Albo zgubę może mieć.
W Lowczycach tylko Drapieżny
Bandurzysty nienawidził,
W nim przyszłego wroga czcił.
Nie szczędził groźby, przekleństwa,
Nadewszystko ciężkiej chłosty
Zasłużonej częstokroć,
Ale pewnie jeszcze częściej
Jako woli pańskiej dar.
A kiedy w Busku na łowach
Hetman polny Koniecpolski
W swoją łaskę chłopca wziął;
Młokosa Cześnik odstąpił
I przekleństwo dał na drogę
I odebrał wet za wet;
A podrzutek więzów wolny
Śmiało przed się spojrzał w świat.
Hetmańską łaską wzniesiony,
Stając później w zbrojnym szyku.
Nieco sławy zyskać mógł.
Przebiegły, śmiały, obleśny,
Umiał wznieść się w krótkim czasie
Dziki piastun własnych dzieł;
Z nienawiścią piął się w górę
Z dumną wzgardą patrzał w dół.
I Hetman wolą ostatnią
Nie zapomniał ulubieńca,
W dożywocie dał mu wieś.
Tak dziwnem losu zdarzeniem
Sąsiadami dzisiaj byli,
Każdy sobie, wroga wróg,
Ów podrzutny wychowaniec
I Sęp srogi z Panów Pan.

* * *

W Karpatach Cześnik polował,
Koczowisko swe przenosił
Z kniei w knieję, z jaru w jar;
Od ujścia Stryja do Dniestru
Aż do jego krętych źródlisk
Przeciął w poprzek pasmo gór,
A od źródlisk po pod Bieszczad
Szedł na zachód dalej wzdłuż.
Niedźwiedzia ścigał upornie,
Piąty tydzień, jak go przejął,
Co dzień widział świeży trop,
A jednak razu jednego
Nie mógł puścić nań ogarów,
Ni też kto go zoczyć mógł;
Objechany każdej doby,
Każdej doby z miotu nikł.

Jak pamięć ludzka zasięgnie
Nie zawitał w nasze strony
Tak ogromny, straszny zwierz.
Nie tłoczył owsa, ni malin
Zrywał, ani mrowisk burzył,
Ale za to woły bił,
I z bydlęcia rozdartego
Tylko wyssał całą krew.

Myśliwstwo szemrać zaczęło,
Że widocznie z djabłem sprawa,
Co w niedźwiedzia skórę wlazł.
Gdzie idzie, wabi do piekła,
A gdy stanie jeszcze gorzej,
Ze złym duchem trudny spór.
Poświęcono zatem strzelby
I na kulkach ryto krzyż.

Tych baśni Cześnik nie słuchał,
Ale złość w nim także wrzała,
Że niedźwiedzia nie mógł dojść.
Już widział honor splamiony,
Swoją sławę poszarpaną,
Jeśli w końcu ujdzie zwierz,
Co przez tyle czasu, kraju,
Jakby sobie z niego drwił.

Nareszcie tabor rozłożył
Na Wetlińskich połoninach
I nadeszła trzecia noc.
Sen twardy wszystkich ogarnął
Ni w szałasie pies zawarczał,
Ni przy wozie forknął koń,
Ni płomykiem wiatr zaszemrał,
Ni też węglem strzelił żar.

Już było dobrze z północy,
Już poranny brał przymrozek,
Światło biło tylko z gwiazd.
Na dużych skórach niedźwiedzich
Leżał Cześnik w owym stanie,
Co nie jawa, a nie sen,
Albo myślał o niedźwiedziu,
Albo niedźwiedź mu się śnił.

W tem nagle wsparł się na łokciu
I sokole wlepił oko,
Gdzie czarniejsza przed nim noc.
Tam stała postać w istocie
Czekająca przebudzenia,
Bo na tegoż pierwszy znak
Przystąpiła, list rzuciła
I zniknęła — w cieniu cień.

Piorunem zerwał się Cześnik
I tak krzyknął, że od razu
Z wszystkich powiek zniknął sen.
Przybiegła służba czem prędzej,
Lecz tymczasem pan rozważył,
Iż rzecz mogą, że się zląkł...
A że pogoń niemożliwa,
Więc zataił całą rzecz.

Rozkazał ognie zapalić
I łuczywa pozaświecać,
I... złowieszczy rozwarł list.
A wkrótce w miarę jak czytał,
Twarz mu bladła, dłoń mu drżała
I pot zimny z czoła uciekł.

Wieść to straszna być musiała,
Co tym dębem mogła wstrząść.
Już skończył czytać, a jeszcze
List jak trzymał, tak i trzyma,
W piśmie błędny topi wzrok.
Nareszcie wstrząsł się, chciał mówić.
Ale głos mu zagrzązł w gardle,
Głuchy tylko wyszedł jęk,
I minęło czasu wiele
Nim chrapliwie krzyknąć mógł:

(C. d. n.)



Korespondencye.

Podkamień, w grudniu.

Chylące się ku swemu kresowi stulecie, pożegnało nas miłą niespodzianką, kłam zadając owym pessymistom, którzy uporczywie twierdzili, że ród słonek zaczyna wygasać na całej kuli ziemskiej, i obdarzyło nas jesiennym ciągiem, jakiego ja, nosząc broń już od pół wieku, w życiu mojem myśliwskiem nie pamiętam. Przepraszam, żem się wyraził o końcu stulecia — albowiem to jest kwestyą polemiki między mędrcami, w jakim się obecnie stuleciu znajdujemy. Ale ja biorę rzecz tylko chłopskim rozumem — logika mi mówi, że wszystko, co się kończy, musiało się kiedyś zaczynać, i tak tydzień zaczynający się od poniedziałku, musi się kończyć w poniedziałek przyszły a nie w niedzielę — tak więc i nasz nowy wiek myśliwski zacząć się musi w roku 1901.

Oby ten nowy wiek chciał naśladować swego poprzednika i obdarzał nas często podobnym przelotem słonek, czego sobie i wszystkim moim kolegom z pod sztandaru św. Huberta, przy tym Nowym Wieku z całego serca życzę. Pisząc jako delegat powiatu rohatyńskiego, opisem świetnych wyników myśliwskich nie mogę zabawić łaskawych czytelników „*Łowca*“. Nasz powiat w tym względzie wiele do życzenia pozostawia, winne temu po części jego niepomyślne topograficzne położenie, po części zaś ta okoliczność, że bardzo mało w nim obszarów znajduje się w posiadaniu właścicieli prawdziwie dbałych o zwierzostan. Ja sam będąc w posiadaniu dość znacznego własnego i wydzierżawionego myśliwskiego terenu, mimo wielkich wysileń, nie potrafiłem nigdy stanu zajęcy doprowadzić do pożądanego rezultatu, pomimo starannego karmienia w zimie i tępienia lisów i innych szkodników strychniną nawet i rozmaitymi innymi niegodziwymi środkami. I tak w ostatnich dwóch latach ubito i otruto u mnie 65 lisów, pomimo tego ich ilość mało się zmniejszyła, z okolicy bowiem wciąż nowe nadciągają zastępy. Drapieżne ptactwo ginie tu na setki — pomimo tego na widnokręgu widać krążące ich stada. Na to potrzebaby akcyi zbiorowej, ale na to trzebaby mieć i myśliwych sąsiadów. Kuropatwa jest tu ptakiem nieznanym; stan sarn tylko zadowalniający. Szkoda tylko, że moje nadobny sylwanki, mogące zimą i latem używać u mnie wszelkich możliwych sarnich gastronomicznych rozkoszy, tak lubią zwiedzać

i okoliczne restauracye, gdzie zamiast znaleść zastawione stoły, padają zazwyczaj pod ołowiem czychających na nie rozmaitych amatorów. Dziki przez całe lato systematycznie buszują po polach, i stają się przyczyną skarg i jeremiad pokrzywdzonej piątej kuryi, wspieranej jeszcze wrzaskiem posła Romańczuka — a gdy trąbka myśliwska zagrzmi w lesie na alarm i sygnał łowów, to zazwyczaj ich już tam nie ma. Stawowe polowanie jedno w naszej okolicy te inne braki sowicie wynagradza. Na niewielkim stosunkowo stawie u mnie w Bieńkowcach padło w tym roku przeszło 200 kaczek. O błotach nie wspomnę — te niegdyś u nas świetne, wskutek posuchy i ciągłego osuszania, już prawie nie istnieją. Ale taką myśliwską klęską dotknięty już jest prawie cały nasz kraj. Cieszę się, że będąc już starym nie dożyję owego czasu, gdy kszyk i dubelt będzie już tylko okazem muzealnym, a ostatniego wyżła pokazywać będą w klatce, w jakiemś Colosseum jako ciekawego zwierza, niegdyś używanego do polowania, a teraz już nieużytecznego. Niepomyślnym jest więc stan myśliwstwa w powiecie rohatyńskim — o wielkich ilościach zwierzyny nie ma tu mowy, jedynie pewna rozmaitość jest tu ubarwieniem. Wyjątek szczególny w tym względzie stanowi w mojem sąsiedztwie mały lasek w Psarach, gdzie prócz całorocznego polowania na kuchnię kilka do roku odbywa się większych polowań, zwierzyna wciąż tryska z pod ziemi, jak gdyby woda z zaczarowanego źródła i do otaczającego ten lasek rzepaku sarny z najdalszych okolic ciągle się zbiegają, tak, że stada z 50 do 100 sztuk nieraz tam widzieć można.

Lasek ten wyjątkowo pomyślnie położony śród rozległych pól, oddalony znacznie od wielkich lasowych obszarów, jest jakąś dziwnie przez zwierzynę ulubioną oazą i stał się dobrem schroniskiem dla wypuszczonych tam bażantów, które się lęgną szczęśliwie pomimo wielkiej ilości lisów, czego dowodem, że na ostatniem jesiennem polowaniu do jedenastu tam strzelano. Śmiało powiedzieć można, że ta knieja psarska kłam zadaje stanowczy wszelkim uznanym i postanowionym z dawna teoryom myśliwskim. Z jarząbkami miałem sposobność dziwne zrobić spostrzeżenia. Posiadam dwa rewiry rozerwane od sąsiedniego lasu wąskim pasem, ciągnące się przeszło dwie mile w długości. W bliższym rewirze miałem niegdyś dużo jarząbków — w dalszym rzadko się je spotykało. Jakiż tedy może być powód, że dziś opuściły prawie zupełnie rewir bliższy i obficie zaludniły dalszy? Czyżby i one, jak inne kuraki były takimi amatorami wędrówek

Zbyt rozległe a niczem niepoprzerywane u mnie? kompleksy lasowe nie są pomyślne do rozmnożenia drobnego zwierza, dla tego przez dwa lata sprowadzane przezemnie bażanty porozlatywały się po lasach i pożytku z nich nic ma. Dla słonek jest to także położenie niepomyślne, a przecież, w tej wyjątkowej jesieni było ich tu bardzo wiele, z czego jednak w stosownej porze skorzystać nie mogłem, gdyż podczas najlepszego ciągu uczestniczyłem w świetnych polowaniach w Olejowie i Lisowicach. Pomimo tego mój syn, który za urlopem przybył tu ostatnich dni października, zabił ich jeszcze 25 sztuk, a więc przeważnie wszystkie już w listopadzie. Zadziwiająco późno tej jesieni rogacze zaczęły zrzucać swoje nadobne wieńce w całej naszej okolicy — niedawno widziałem jeszcze kilka ukoronowanych. Dla tego może nie chcą zrzucać tej jedynej obrony, by się bronić przeciw napadom, które leśnicy niemyśliwi teraz na nich gotują, za to, że mają być zbrodniarzami tak groźnymi dla ich kultur. Mój Boże! Jakżeż to u nas jeszcze daleko do tego, aby zwierzyna stać się mogła zgubą dla leśnictwa! A z biednymi jeleniami cóż to już nie wyrabiają! Nawet sztuczną hodowlę wilków pragnęli by urządzić dla zagłady jeleni. Taki pomysł wydaje mi się wprost potworny. Kto zna stosunki nasze łowieckie, wie najlepiej, gdzie się znajdują ulubione ostoje jeleni. W głębokich górach pokrytych przeważnie rządowymi lasami. Kto raz zwiedzał te górzyste lasy, ten zaraz pozna, że powodem ich wyniszczenia z pewnością nie są jelenie. — Z mikroskopem nawet nikt by tam nie dojrzał zresztą owych kultur, które te jelenie tam mają wyniszczać doszczętnie. Inne są tu w grze czynniki, inne powody, że nasze góry, niedawno jeszcze okryte dziewiczymi lasami, teraz świecą gołemi łysinami. Nie jelenie temu winny. W braku innego kozła ofiarnego wybrano sobie biednego jelenia. — Z nowo nabytem doświadczeniem chciałbym się jeszcze podzielić z łaskawymi czytelnikami. Jak wszyscy starzy ludzie, mając zacofane wyobrażenia, i trzymając się chętnie *status quo*, z niedowierzaniem patrzę na nowe wynalazki i z trudnością je zastosowuję. Tak się rzecz miała oczywiście i z bezdymnym prochem. Nie dawno jednak zdecydowałem się na próbę. Z gotowymi ładunkami z rządowej fabryki Woellersdorf odbyłem dwa pierwsze polowania. Pierwsze na bażanty w Przeworsku, u ks. Andrzeja Lubomirskiego, drugie w Wysuczce, u Ordynata Czarkowskiego-Golejewskiego. Zdumiony byłem rezultatem. Tak piorunujących strzałów na niezwykle odległości nie robiłem dotąd nigdy. Niektórzy moi koledzy, którzy także bezdymnym prochem strzelali, uskarżali się na nierówność strzałów, a czasem na brak siły, ale w tem był błąd, że te ładunki sami sobie robili, gdy zaś ładunki gotowe z rządowej fabryki wszystkie były istne pioruny. Mam to przekonanie, że byle cena prochu bezdymnego się zniżyła, wkrótce się innym strzelać nie będzie. Strzelałem z nowej lankastrówki z lufkami Krupa, wyrobu pracowni Szadkowski i Kopczyński; nie wiem, czy doskonałość broni, czy proch bezdymny tu powodem świetnego rezultatu. Z tej pracowni posiadam cztery drylingi i dwie śrótówki. Wszystkie nie pozostawiają nic do życzenia — słowem są pod każdym względem doskonałe. Zarzuciłem moje strzelby angielskie, francuskie i niemieckie i odtąd żadnej innej broni nie używam, a koledzy moi myśliwi nieraz mieli sposobność podziwiać ich doskonałość. *L. Starzeński*

Hawłowice, 24. grudnia 1900.

Dawniej zawsze starałem się polować w dzień wilii — dzisiaj po raz pierwszy w życiu nie polowałem, otóż po wieczerzy zasiadam, aby napisać korespondencyę do *„Łowca“* — i tem się za doznany zawód zrewanżować. A więc: Syn mojego przyjaciela z młodych lat, Przedrzymirski, opisał w *„Łowcu“*, co doświadczył przy próbie z bezdymnym prochem. Sprawdza się tu przysłowie: *o experientia, quam amara sunt fructa tua*“. Kończy on tem, że skazał na śmierć resztę gotowych naboi przez utopienie w rzece — a że i ja robiłem różne doświadczenia, więc, com doświadczył, opiszę.

Proch bezdymny Nr. II. jest dobry do sztućców, a zły do śrótowej broni — do której należy używać Nru I, gdyż ten jest szybciej zapalny i z austryackich prochów bezdymnych najodpowiedniejszy. Do tego prochu

musi się używać osobnych łusek ad hoc, z dużą kapslą, gdyż łuski zwykle, choćby z dużą kapslą, nie mają dość siły zapalnej, aby nabój był dobry. Otóż ja mając łuski z dużą patentowaną kapslą i drugie z dużą kapslą Sellier & Bellot z Pragi, zrobiłem na ładne polowanie zarzyckie na szczęście tylko pięć naboi — z tych strzeliłem do rogacza, który zmiatał i dopiero pomógł mu do śmierci drugi strzał czarnym, i do czterech zajęcy, z których żaden nie został — za to ja zostałem zdziwiony na miejscu a zające pouciekały. Że zaś nie mam szczęścia do ludzi i nawet szczerzy przyjaciele nigdy mnie nie pożałują, gdy chybię — miałem ja za swoje — szczególniej dowcipkował o bezdymnym znany z dobrego humoru Zdzisław Skrzyński, który płodził na ten temat różne gadki humorystyczne.

Do prochu Nr. I wszystkie łuski z dużą, a już nic nie mówić o małej kapsli, zapalają słabo proch i nabój jest zły, przetrzymuje w strzale i nie zabija zwierza. Nauczony doświadczeniem sprowadziłem od firmy Sellier & Bellot z Pragi łuski z wzmocnioną siłą zapalną kapsli, już do bezdymnego zamówione i napełniam je do kal. 12-go trzema gramami prochu bezdymnego. Te naboje zabijają piorunująco. Strzał jest teraz przy zimnie silny — tak, że do ptaków $2^1/_2$ gr. używać wypada, podczas gdy pierwej dawałem aż do $3^1/_2$ grama, strzał miałem słaby, a jeżeli zając został, to się męczył długo. Teraz jakby „blitzem“ przejeżdża się na tamten świat — i możnaby o nim powiedzieć, jak mawiał lisowiecki towarzysz, ś. p. Hudec: „ani drgnul“. Wadą tego prochu jest, że zanieczyszcza lufy, że trzeba je myć ciepłą wodą z mydłem albo Curolem, a w braku tego naftą — inaczej mogłyby ucierpieć lufy.

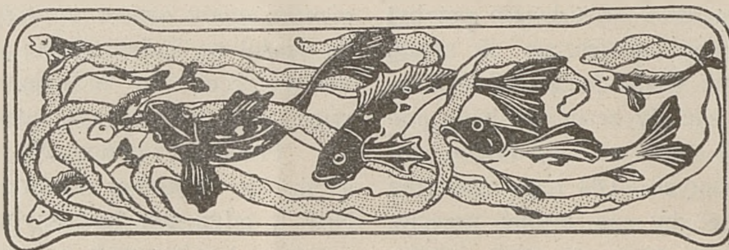
Jestem pewny, że go ulepszą — strzelając nim, widzi się efekt strzału, drgnięcie zwierza, i ma się czas dublować, bo się widzi, co się stało, podczas gdy czarny tyle daje dymu, że w wilgotny, spokojny, a szczególniej mglisty dzień po strzale trudno zobaczyć skutek — co szczególnie przy słonkach, kuropatwach, strzelanych przed pogonką, jest bardzo niemiłe.

Przypomnijmy sobie, jakie to były liche „wydrzyjdusze“ pierwsze lefoszówki, lankastrówki — można je było bez wyrzutów sumienia potopić — a jakie są dzisiaj — więc cierpliwości, a doczekamy się, że jak tamte zastąpiły kapslówki, tak bezdymny wyruguje stary czarny proch — co by się prędko stało, Wam i sobie szczerze życzę.

Teofil Żurowski.

Założce, dnia 12. grudnia 1900.

Dzięki długiej i pogodnej jesieni, w tym roku do pierwszego grudnia można było polować na stawach. Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć tak wielkiej ilości ptactwa na raz, jak na stawach wertełeckim i załozieckim, dla tego też o polowaniu tem donoszę. Zapewne rozległość i sąsiedztwo pięciu wielkch stawów, werteleckiego, załozieckiego, ratyskiego, międzygórskiego i pieniackiego, tak wielką ilość zwierzyny sprowadza. Polowanie na ptactwo błotne w ogóle wydaje mi się bardzo wdzięczne,



gdyż trwa zwykle cały rok, dopóki wody nie zamarzną, przy tem poluje się na zwierzynę, której nie trzeba ani wychowywać, ani pielęgnować, ani ostatecznie podczas pory polowań oszczędzać, gdyż z nastaniem mrozów tylko mała część zatrzymuje się na cieplicach, a reszta odlatuje na niezamarznięte rzeki i limany. Szczególnie w jesieni spotyka się mnóstwo odmian kaczek. Tej jesieni było wiele nurów polarnych, a na stawie pieniackim strzelano do dzikich łabędzi.

W tym roku prócz wielkiej ilości ptactwa błotnego zabił kilka dzikich gęsi hr. Leopold Starzeński, polując kilka dni w Pieniakach i na stawie wertełeckim. Dzikie gęsi, które zwykle tam się wywodzą, gdzie napotykają pływające wysepki zarośnięte szuwarem, gnieżdżą się tu stale. Jedną dziką gęś, którą 10-go grudnia lekko postrzeliłem obok stawu załozieckiego, na oziminie, chowam — już się trocha oswoiła. Ogółem w tym roku zabito na stawach wymienionych tu wyżej 319 kaczek, 23 kszyków, 14 dubeltów, 5 dzikich gęsi, 5 nurów polarnych i 2 wydry.

J. C.

Bursztyn, 29. grudnia 1900.

W dniu 27-go t. m. odbyło się w lasach hr. Klemensa Dieduszyckiego w Martynowie polowanie.

Polowano w 20 strzelb, brano ogółem 10 miotów. Na rozkładzie było 12 kozłów, 5 lisów, 21 zajęcy, 1 sowa i 1 jastrząb.

Zaznaczyć tu wypada nader piękny stan sarn w lasach martynowskich, w każdym bowiem miocie widziano ich po kilka sztuk. Świadczy to najwymowniej o racyonalnej gospodarce i pielęgnacyi zwierzyny przez właściciela, który dokłada wszelkich starań w tym kierunku. Dzięki temu nie ma też w lasach martynowskich kłusowników, tej jedynej plagi, na którą w innych okolicach tak często się uskarżają.

Serdeczna gościnność staropolska w domu hr. Dieduszyckich była zakończeniem tego pięknego dnia.

Mojseowicz.

Turówka, d. 2. stycznia 1901.

Nie stać mnie na to, by trzymać wszystkie europejskie dzienniki fachowe, w których panowie delegaci powiatu skałackiego umieszczają cenne swoje artykuły i sprawozdania myśliwskie, a w „*Łowcu*“, na który jedynie środki moje pozwalają, nie mogę nigdy znaleść wzmianki o powiecie skałackim. Że zaś o honor jego dbać mi się godzi, boć to najbliższa moja ojczyzna, choć więc niepowołany, zbieram się czasem na odwagę, by drżącą od pługa ręką, licząc na cierpliwość papieru i wyrozumiałość czytelników, skreślić wspomnienie z jakiego polowania w naszym powiecie.

Z dumą zaznaczyć mogę, że powiat skałacki, jakkolwiek blisko Zbrucza, leży jeszcze w Europie, i jest kolebką obecnego Namiestnika Galicyi; mieszkańcy jego wyszli już z epoki kamiennej i nie żywią się wyłącznie mięsem ludzkiem; są u nas tacy, którzy jeżdżą cza-

sem koleją, i strzelają z broni odtylcowej. Co prawda, tych ostatnich mamy nawet zbyt wielu, zwłaszcza takich, którzy nie mają właściwie gdzie strzelać. A bodaj czy nie opowiadał mi ktoś wiarygodny, że są nawet delegaci Towarzystwa łowieckiego, ale za to nie ręczę, a plotek robić nie chcę*).

W ostatnich dniach ubiegłego stulecia, właśnie przed tygodniem, polowaliśmy w lasach hr. Pinińskich, w Zielonej, hr. Aleksandra Pinińskiego i w Dębinie pod Grzymałowem. Że nie ze skałkówek strzelano, sama liczba ubitej zwierzyny dowodem. W Zielonej padło 43 zajęcy, 2 rogacze i 1 lis; w Dębinie 84 zajęcy i 1 lis. Jak na czarną stopę, przy odkrytych rolach, w których zając, przy ciepłocie, wcale nie zimowej, jaka wtedy była, wylegiwać się lubi, każdy przyzna, że rezultat ładny. Wprost jednak zastanowić musi ten rezultat, gdy się wspomni, że ta Dębina grzymałowska jest sobie przestrzenią dwustumorgową, przytykającą bezpośrednio do miasteczka, na której stoją zrzadka stare dęby, a pod nimi kępka suchej trawy, krzaczek leszczyny, jakiś burzan mały. Co tam ściąga tę nieopatrzne zajace i dlaczego tak znaczną ilość ich co roku tam zastajemy, trudno odgadnąć. Domyślać się chyba tylko można, że znana energia p. dyrektora tego klucza, nawet ten na wolności chowany inwentarz w takich karbach posłuszeństwa trzyma, że na głos trąbki myśliwskiej zbiega się do gaju, niosąc Ekscelencyi i gościom jego życie w ofierze. A „Kozaczyzna“, ta Riviera Zieleniecklej kniei, skąd widok tak rozległy, że oko ludzkie nie sięgnie, gdzie nie ma właściwie lasu, tylko między skałami, z trudem zasadzona drzewina ledwie wegetuje, to spiżarnia całej kniei, tam pada zwykle połowa całego rozkładu, a wszelki gatunek naszej zwierzyny ma tam swoich przedstawicieli. Wszak tu władza p. dyrektora nie sięga — tu je chyba zwabia miękka ręka przyrody wdziękami i rozkoszami, na jakie zdobyć się umie nasz przyazyatycki klimat.

Każdy jednak rozumie, że ani mars pana dyrektora, ani uśmiechy przyrody niby nie pomogły bez opieki i starania właścicieli polowania, u których to tem większą jest zasługą, że nie mieszkając na wsi, rzadko bardzo rozkoszy polowania w swoich kniejach zażywać mają sposobność.

Nie będę się wypierał, że lubię bardzo polowanie, ale nie tylko samą strzelaninę. Mnie cieszy i rozrywa cały ten zachód myśliwski. Już robiąc ladunki, a zawsze sam sobie robię, zaczynam niejako polować. Wszystkie znajome knieje przychodzą wtedy kolejno na myśl, a w nich te dobre stanowiska, na których było spotkanie. I rozmyślam, w której z nich, i kiedy będę tymi ładunkami strzelał; czy Lazarewicz postawi koło tego graba, gdzie sarny zawsze wekslują, a poczciwy Buda, czy pamięta, że obiecał stawiać przy tym wydołku, kędy lis najchętniej się wykrada... o wykradł mi się wtenczas, rulował po strzale, a po chwili zebrał manatki, i tylem go widział; Romcio go potem — spudłował, pamiętam dokładnie, spudłował. To przykre wspomnienie. A w tamtym lasku nad Zbruczem, ta skałka, to milsze wspomnienie, gdzie człowiek słonki wyglądał, a trzy warchlaki niespodzianie śrótem zabił. Czy to się jeszcze kiedy zdarzy? Ale największa troska, czy nie zapomni o mnie Władzio i Maryan, a chociaż wezwą, wszak bieda nie śpi — czy co nie przeszkodzi. A jeszcze inny kłopot się trafia. Ot, właśnie przyniósł chłopak telegram: „Polowanie, czwartek, bądź łaskaw...“ co — czwartek? Masz babo redutę, wszak Ludwisiowi obiecałem się już na czwartek. A szkoda, i to ładna knieja, ale nie ma rady, człowiek się nie przetnie.

Ładunki tedy gotowe, są zaproszenia — nawet podwójne, zdrowie dopisuje... no, nie tęgo, ale przecie ruch i powietrze to najlepsza kuracya, więc jazda.

Jakich uczuć i wrażeń doznaje myśliwy na polowaniu, że tak powiem, w ogniu, — tego nie powiem. Odczuwać rozkosz polowania, żyć w pełni polowaniem, to umiem, ale opisać — komu innemu pióro oddaję, sam zostanę przy strzelbie.

Jak wiek młody żyje nadzieją, a jesień życia wspomnieniem, tak myśliwy w kniei żyje tem, co go w tej chwili otacza. To mu wystarcza, daje mu pełne zadowolenie, szał go jakiś opanowuje i zapamiętanie, niby głuszca, kiedy śpiewa. A takie zapomnienie trosk powszednich, wszak każdy przyzna, że to rozkosz! Są jednak i inne, i myśliwy temu nie przeczy.

Jakże miło myśliwym, sytym przyjemności i trudu dobrego polowania znaleść się w łagodnej atmosferze domowej, w gronie uroczych westalek, pod których ciepłem spojrzeniem, chwilowo wśród boru zatwardłe serca wnet miękną, a pierzchają chmury niemiłych wspomnień, zawisłe na czołach tych, którym nie była łaskawą Dyana.

Znów ciśnie się wspomnienie — ta pociecha starych!

Jak niedawne zdają się te czasy, kiedy mury zamku grzymałowskiego rozchodziły się od nacisku zgromadzonych w nim gości ze wszystkich stron kraju, stajnie pełne obcych koni, myśliwskich, lub wyścigowych, na dziedzińcach psiarnie, charty i bigle. W dzień polowania albo wyścigi, wieczorem tańce lub teatr amatorski. I tak tygodniami bawiono się ochoczo. Każdy czuł się jak w domu, a gospodarzom nie robiło to żadnej różnicy, bo rozumna a miękka ręka niezrównanej, a najmilszej pani domu wszystkiem kierowała.

Wysokie urzędy nie pozwalają obecnym panom zamku mieszkać w Grzymałowie i trzymać przez rok cały, jak dawniej bywało, gościnnie otwartych podwoi, dla bliskich i dalekich. Tem większa przeto zasługa, że nie mieszkając stale, trud ten sobie zadają i kilka razy w roku gromadzą pod swym dachem garstkę znajomych i przyjaciół, dając im zażyć rozkoszy myśliwskich i przyjemności miłego towarzystwa. Za co im dzięki!

Bronisław Rozwadowski.

Z Rawskiego, w styczniu 1901.

W dniu 14 i 15 grudnia zeszłego roku wśród odwilży i braku śniegu — polowaliśmy u pana J. Sołowija w Kamionce Lipnik. Pierwszy dzień zgromadził drużynę siedemnastu myśliwych. Po spolowaniu kniei 500 morgowej znalazło się na rozkładzie 1 kuna, 1 rogacz, 4 lisy i 134 zajęcy. Strzałów padło 289. Dnia następnego polowaliśmy w zmniejszonej ilości strzelb w odległej kniei „Piratyn“. Las to nisko bardzo położony — a klęska, która objęła niemal kraj cały — sięgnęła i tu — bo na rozkładzie

---

*) Jednym z najzasłużeńszych delegatów, którego gorliwą pracę dla dobra Towarzystwa nawet w rocznych sprawozdaniach podnosiliśmy, jest właśnie jeden z delegatów skałackich, p. Ćwierzewicz. W r. 1900 umieścił zaś p. Dr. Wojtkowski, członek Towarzystwa, obszerniejszą korespondencyą z powiatu skałackiego. *(Redakcya).*

znalazło się 4 rogacze — a tylko 14 zajęcy. Doskonały rezultat pierwszego dnia — pozwolił zapomnieć jednak uczestnikom o pewnego rodzaju rozczarowaniu — jakie ich w drugim dniu spotkało. Podnieść tu należy, że gospodarstwo myśliwskie w Kamionce trwa zaledwie lat trzy. Wszyscy sąsiedzi do niedawna mają w żywej pamięci, jaką klęską nie tylko dla Kamionki, ale i dla okolicznych rewirów byli do niedawna liczni kłusownicy kamioneccy, a przytem licznie reprezentowani t. zw. „wolni myśliwi". Dzięki konsekwentnej pracy i wytrwałości obecnego właściciela polowania, a przytem prawdziwie obywatelskiej pomocy c. k. Starostwa i Sądu w Rawie — puste przed laty paru rewiry Kamionki, obecnie takie już mają rezultaty. Popełnię tu niedyskrecyę, gdy korzystając z uprzejmości gospodarza, który pozwolił mi zaglądnąć do swych notatek myśliwskich — przytoczę cyfr parę, które łatwo dowiodą, że ochrona, racyonalne polowanie,a nawet i karma podawana zwierzynie nie wystarczy jeszcze dla podniesienia jej stanu, lecz główny nacisk należy położyć na tępienie nie tyle kłusowników, jak wielorakich szkodników.

W roku 1900 padło na terytoryum wydzierżawionem przez p. J. Solowija w Kamionce zwierzyny pożytecznej: 11 rogaczy, 207 zajęcy, 23 słonek, 25 kaczek, 44 bekasów, 43 przepiórek, 336 kuropatw. — Razem sztuk 689. Zwierzyny szkodliwej: 85 psów, 93 kotów, 16 borsuków, 25 lisów, 54 jastrzębi, 52 bocianów, 372 wron i srok, 3 kuny, 20 łasic i chomików. Razem sztuk 720. Jaką rolę odgrywają psy, koty, a zwłaszcza bociany, które tu konsekwentnie są tępione, świadczą o tem cyfry zabitych w tym trzechleciu kuropatw. Gdy w roku 1898 padło ich zaledwie 17 — rok 1900 wykazuje przy niewyzyskanem polowaniu niebywałą jak na wschodnią Galicyę liczbę 336 sztuk. Że walka z kłusownikami w Kamionce trwa bez przerwy dowodzi najlepiej, że w ciągu tych trzech lat 38 mistrzów tej sztuki władzom w opiekę oddano.

S.

Rekliniec, dnia 29. grudnia 1900.

Dnia 24 grudnia odbyło się polowanie w Reklińcu w kilka strzelb i ubito 1 dzika, 2 kozły, 1 lisa, 1 jarząbka, 4 zające i 2 cietrzewie. Strzałów padło wiele, ale pudłowano i pora była ciepła, więc zające były w polu.

Roman Lewandowski.

W Lubiankach, w powiecie zbaraskim, własności pani Berty Buberowej, odbyło się 21 grudnia polowanie w dwadzieścia cztery strzelby, pod kierownictwem emeryt. starszego zarządcy rządowych dóbr. p. Władysława Korosteńskiego. W sześciu miotach, z 80 ludźmi nagonki i na przeszło 300 strzałów ubito: 3 kozły, 5 lisów i 97 zajęcy. Jakkolwiek padło tylko trzy kozły, to jednak przyznać trzeba, że stan sarn w Lubiankach jest bardzo dobry, ale podczas polowania wymykały się w tył przez nagonkę, lub opuszczały flankami mioty, a były też wypadki, że kilku myśliwych nie rozpoznało płci męskiej wymykających adonisów rodu sarniego. Za to zajęcy padło bardzo wiele wobec tego, że przeważna ilość zajęcy była w polu i jest pewność, że w dzień prawdziwie zimowy na rozkładzie byłoby się znalazło do 200 sztuk zajęcy. Wszystko to wskazuje, że w Lubiankach tak ze strony p. właścicielki jak i zarządu leśnego jest jak najdalej idąca ochrona zwierzyny.

L. G. W.



Sprawozdania łowieckie.

Rekliniec, dnia 29. grudnia 1900.

Przesyłam spis zwierzyny ubitej od 1 stycznia 1900 roku do 1 stycznia 1901 roku, w majątku Rekliniec i Strzemień, powiat żółkiewski.

Spis wykazuje zwierzynę ubitą w lasach i na polach, tak pożyteczną jak i szkodliwą.

Zwierzyna pożyteczna została ubitą na polowaniach przez samego właściciela i jego gości.

Zwierzyna szkodliwa ubita przez straż leśną.

Zwierzyna pożyteczna:

Kaczek krzyżówek i cyranek . . .	44	sztuk
Kuropatw	41	„
Cietrzewi	4	„
Jarząbków	4	„
Przepiórek	11	„
Paszkotów	6	„
Dzikich gołębi	6	„
Kszyków	4	„
Chruścieli	4	„
Kozłów	5	„
Dzików	2	„
Zajęcy	25	„
Razem	155	sztuk

Zwierzyna szkodliwa:

Lisów	5	sztuk
Psów	3	„
Kotów	16	„
Kun leśnych	1	„
Bocianów	3	„
Srok	19	„
Wron	16	„
Jastrzębi	4	„
Razem	76	sztuk

Razem w ogóle ubito przez cały rok zwierzyny różnej sztuk 231.

Okocim, d. 8. stycznia 1901.

Ponieważ i w naszym powiecie brzeskim stan zajęcy o wiele słabszy, niż w innych latach, słusznie właściciel tutejszy, p. Götz Okocimski, jako doświadczony myśliwy, nie urządził tego roku żadnego większego polowania na zające.

Na dowód, że okocimskie polowanie można zaliczyć do wcale dobrych, załączam listę ubitej zwierzyny od 1 lipca 1899 do 30 czerwca 1900.

a) Rogaczy	sztuk	56	
Zajęcy	„	566	
Bażantów	„	64	
Słonek	„	2	
Kaczek	„	12	
Kuropatw	„	411	
Chruścieli	„	5	
Przepiórek	„	6	1122
b) Lisów	sztuk	85	
Borsuków	„	2	
Kun	„	2	
Łasic	„	47	
Psów	„	105	
Kotów	„	162	
Wiewiórek	„	35	
Jastrzębi	„	76	
Srok i wron	„	1978	
Sów	„	8	2500
	razem sztuk		3622

za które zapłacono strzałowego dozorcom polowania 1023 K. 45 h.

56 sztuk rogaczy wszystkie strzelane przez właściciela i gości na podchodnem.

Bażantarnia dzika istnieje dopiero od pięciu lat, rozmnożona z 20-tu kur i 4 kogutów.

Za szkody zrządzone przez zwierzynę na polach wypłacono włościanom 2311 K. 80 h.

Karol Ring, leśniczy.



Sprawy Towarzystwa.

D. 22 stycznia b. r. odbędzie się o godz. 5-ej popołudniu posiedzenie Wydziału gal. Towarzystwa łowieckiego w lokalu Towarzystwa ul. Słowackiego 18.

Odezwa.

Przy numerze pierwszym przesłaliśmy przekazy na odnowienie wkładki i prosimy bardzo wszystkich Szanownych Członków Towarzystwa, aby wkładkę tę bezwłocznie przysłać raczyli. W ten sposób zaoszczędzą Biuru Towarzystwa pracy, która z większą korzyścią Towarzystwa może być zużytkowaną i umożliwią należytą gospodarkę funduszami Towarzystwa.

Zarazem prosimy pp. Delegatów i Członków, aby w obecnej porze częstych polowań zechcieli pamiętać o Towarzystwie i jednać dla niego nowych członków. Szczególnie tych Członków, którym rozesłaliśmy swojego czasu odznaki, prosimy bardzo, aby zechcieli je umieścić w odpowiednich rękach lub też zwrócili nam je.

Wydział.



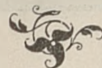
Kronika.

Hr. Józef Potocki wybiera się na nową wyprawę myśliwską do głębokiej Afryki. Już w styczniu odpływa hr. Potocki z Tryestu do Kairu i Nilem via Chartum i Omduraman dotrzeć chce do Faszody, słynnej z politycznego zatargu między kapitanem Marchandem a Anglią. Ziemie te położone między niebieskim a białym Nilem, w zapadłej głuszy afrykańskiej, zamieszkałe przez dzikie szczepy murzynów, aż do pogromu derwiszów przez lorda Kitchenera i rozproszenia wojsk Mahdiego, były dla podróżników kompletnie nieprzystępne, i dopiero od dwóch lat stały się dostępniejszemi. Roi się w nich od najgrubszego zwierza. Pod względem etnograficznym stanowią one również teren bardzo ciekawy. Przez kilku tygodniami hr. Potocki wyjechał do Londynu, aby wyekwipować się do wyprawy i uzyskać pomoc rządu angielskiego, bez której obyć się w tamtych stronach nie można. Hr. Józefowa Potocka towarzyszyć będzie małżonkowi swemu tylko do pierwszej katarakty na Nilu, poczem powraca do kraju.

Kalendarz łowiecki. P. Edmund Kolbuszowski podjął na rok bieżący na nowo przerwane przez kilka lat wydawnictwo Kalendarza myśliwskiego, rybackiego i leśniczego. Kalendarz wydany staraniem p. Kolbuszowskiego możemy Szanownym Członkom Towarzystwa gorąco polecić — zawiera on obok kalendarium potrzebne wskazówki dla tych działów gospodarstwa, a w dziale literackim mieści się początek słownika łowieckiego, opracowany starannie przez samego wydawcę. Kalendarz przedstawia się pod względem zewnętrznym bardzo zgrabnie i elegancko. Przy numerze 22 „Łowca" z r. 1900, załączoną była kartka korespondencyjna, którą kalendarz ten można zamawiać w Biurze Towarzystwa. Biuro Towarzystwa zamówienia te odstąpi do załatwienia wydawnictwu.

Sprzedaż zwierzyny. Na żądanie Wiceprezesa Towarzystwa, p. Czarkowskiego-Golejewskiego notujemy, że zwierzynę na polowaniach w ordynacyi wysuckiej ubitą zakupił p. Chrypiak, który podjął się zakupywać zwierzynę od Członków Towarzystwa w każdej porze i po stałych cenach, i że przy tej tranzakcyi wywiązał się ku zupełnemu zadowoleniu ze wszystkich swoich zobowiązań.

Śmiały lis. W rewirze Rocholin, który składa się z parcel położonych wśród łąk, zauważyli rębacze na drodze między łąkami dużego lisa, który dozwolił im przybliżyć się do siebie na kilka kroków, a potem pomyszkował powoli na łąkę. W kilka dni potem około południa siedział lis na drodze i dopiero rzucanymi kamieniami dał się rębaczom spędzić. Przytem zakreślił małe koło na łące i wrócił nazad na drogę, ciągle idąc blisko ludzi. W trzy dni potem tamtejszy zarządca lasów spostrzegł tego lisa skradającego się w zaroślach, jednakże nagle znikł on mu z oczu i skrył się w tych zaroślach. Zarządca podbiegł z przeciwnej strony tych krzaków, gdzie kilku kosiarzy kosiło trawę. Lis za chwilę wyszedł z krzaków i w odległości 20 kroków od koszących łąkę zaczął szukać za myszami. Zarządca strzelił lecz chybił. Wedle opowiadania zarządcy kita lisia była bez włosa. Rewir ten posiada mało lisów, zachowanie się tego lisa w tym wypadku nie było wyjątkowe, gdyż sam zarządca zauważył nieraz tę jego śmiałość.



DROBNE OGŁOSZENIA.

(po $1\frac{1}{2}$ ct. od wyrazu).

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz**.